

VarArt

pismo kulturalno-literackie
nr 02/2025 (67)



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Opowieść o gospodarzu czyli biologia i humanistyka w symbiozie

Pojęcie *host*, czyli gospodarz, kojarzy się nam z informatyką – hostingiem stron, serwerami, cyfrową przestrzenią. Jesteśmy użytkownikami cyfrowych usług, gdzie niewidzialni gospodarze serwują treści. Jednak dla mnie, jako biologa, *host* to przede wszystkim organizm wpłany w relacje pasożytnictwa i komensalizmu.

W biologii gospodarz to organizm zapewniający środowisko do życia innemu – pasożytowi lub komensalowi. Gospodarz często nie ma wyboru. Pasożytnictwo to związek, gdzie pasożyt czerpie korzyści kosztem gospodarza. To gra ewolucyjna, w której gospodarz rozwija mechanizmy obronne, a pasożyt je omija. Gospodarz staje się siedliskiem, a jego dobrostan nie jest priorytetem dla gościa. Pasożyt potrafi bytować niezauważony, cicho czerpiąc z zasobów. Ale pojęcie zysku i straty jest w biologii płynne – często nie odróżnimy pasożytnictwa od symbiozy, np. w przypadku powstania komórek eukariotycznych z mitochondriami.

Komensalizm to relacja subtelniejsza, gdzie jeden organizm czerpie korzyści, a drugi ani nie zyskuje, ani nie traci. Komensal czerpie „z tego, co spadnie z pańskiego stołu”. Przykładem są bakterie na naszej skórze, odżywiające się martwym naskórkiem. To „neutralny hosting”, gdzie gospodarz udostępnia zasoby, nie ponosząc kosztów. Komensal pomieszkuję, bez głębszej interakcji.

Rola gospodarza jest głęboko zakorzeniona w kulturze. Akt gościnności – przyjmowania podróżnych, oferowania schronienia i pożywienia – to uniwersalny przejaw człowieczeństwa i turystyki. Bycie dobrym gospodarzem jest cenioną cechą. Gospodarz angażuje się emocjonalnie i społecznie, budując relację z gościem, często opartą na wdzięczności i wzajemności, co wzmacnia więzi społeczne.

Hosting to nie tylko fizyczne udostępnianie miejsca, ale też tworzenie atmosfery akceptacji, bezpieczeństwa i komfortu. Korzyści są często wzajemne – wymiana idei, budowanie wspólnoty. Jednak zdarzają się nieproszeni goście lub kłopotliwi turyści, a ich nadmiar może wywołać reakcje obronne.

Współczesność dodała nowy wymiar: hosting cyfrowy i automatyzację. W internecie gospodarzami stały się serwery, a my stajemy się „gośćmi” i „gospodarzami” udostępniającymi treści. Ta nowa gościnność ma swoje zasady i zagrożenia – wirusy i robaki w cyberprzestrzeni to swoiste pasożyty, co uderzająco łączy świat biologii z krzemowymi układami noosfery.

Najbardziej intrygującym przykładem są w pełni zautomatyzowane hotele. Brak recepcji, cyfrowy check-in, roboty dostarczające ręczniki – ludzki gospodarz staje się

niewidzialny. Sam niedawno byłem w hotelu, w którym przez kilka dni nie widziałem nikogo z obsługi. Gość czerpie korzyści z wygody i efektywności, hotel z niższych kosztów. Obie strony zyskują. Automatyzacja bez głębszej relacji, bez emocji. A może dla gościa pragnącego ludzkiego kontaktu taka niewidzialność staje się formą pasożytnictwa lub komensalizmu? Brak empatii i wsparcia, którego oczekujemy od gospodarza, zamienia się w pasożytnictwo systemu pochłaniającego czas i energię. Ta nowa rzeczywistość stawia pytania o istotę gościnności. Czy prawdziwa gościnność wymaga ludzkiej obecności? Czy brak bezpośredniego kontaktu z gospodarzem wpływa na nasze poczucie przynależności i bezpieczeństwa? Gdy algorytmy zarządzają naszymi potrzebami, granica między „gościem” a „użytkownikiem” staje się płynna. Automatyzacja, choć efektywna, może nieświadomie pozbawić nas tego, co w gościnności najcenniejsze – autentycznej relacji z ludźmi.

Pytanie o etykę gościnności jest ważne: na ile dzielimy się zasobami, przestrzenią, uwagą? Gdzie leżą granice naszej gościnności wobec pasożytnictwa czy nadużyć? W kontekście automatyzacji – gdzie leży granica między efektywnością a utratą istoty ludzkiej interakcji? Czy gospodarz, będący algorytmem, nadal jest prawdziwym gospodarzem? ■



Rys. Karolina Lewandowska

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Opowieść o gospodarzu czyli biologia i humanistyka w symbiozie

04 WYWIAD

Z ROBERTEM SZEWCZYKIEM rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

06 POEZJA

MAGDALENA PAWELSKA: Wiersze

07 POEZJA

MICHAŁ OSTROWSKI: Wiersze

08 POEZJA

RAFAŁ GRZYWNOWICZ: Wiersze

10 POEZJA

OLIWIA JARON: Wiersze

11 POEZJA

EMILIA SYPNIEWSKA: Wiersze

12 PROZA

MAGDALENA LEWCZUK: ***

13 DRAMAT

ALEKSANDRA TCHÓRZEWSKA: Taka scenka, wyobraź to sobie

14 POEZJA

ALEKSANDRA TCHÓRZEWSKA: Wiersze

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

GALERIA ARESZT SZTUKI

16 GALERIA

GALERIA ARESZT SZTUKI

18 KRÓTKA FORMA

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Wodne opowieści

20 INICJATYWA

ANDRZEJ KUROWSKI: Areszt?

22 RECENZJA

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA: Książka o papieżu polskiego reportażu

24 REGION

ADRIANNA WALENDZIAK: „Wyznanie wiary” Jana Seklucjana. Historia pewnego reprintsu

25 FELIETON

ANNA RAU: Między unikatami a kserokopią: cały urok reprintsu

27 FELIETON

MARY RUMI: Gospodarz języka

28 RECENZJA

KATARZYNA GUZEWICZ: Dobry gospodarz?

29 REGION

MAGDALENA WAŁKUSKA: Osiemdziesiąt lat temu...

30 FELIETON

ELŻBIETA ZAKRZEWSKA: Czy nadal istnieje przysłowiowa polska gościnność

31 NA KOŃCU

KRZYSZTOF KAPINOS: Samotność gospodarza

Ślimak nie zaprasza nikogo do swojego domku, może i dobrze, bo ciężko byłoby się przeciskać w nim obok gospodarza. Ma też zawsze blisko do domu, ale to już inna historia... Bycie gospodarzem to wieczne krzątanie się, pilnowanie, bo pańskie oko konia tuczy.

Czy gospodarz jest samotny, w numerze poświęconym hostingowi zastanawia się Krzysztof Kapinos. *Na ile dzielimy się zasobami, przestrzenią, uwagą i gdzie leżą granice naszej gościnności* pytają Stanisław Czachorowski oraz Elżbieta Zakrzeska. O Edwardzie Cyfusi „gospodarzu” gwary warmińskiej pisze Mary Rumi. Swoją nową galerię prezentujemy nam Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie Areszt Sztuki. Publikujemy także odrobinę poezji uczestników Pracowni Literackiej, która jest swoistym domem dla poetów olsztyńskich.

Redakcja VariArtu jest zawsze gościnnie i serdecznie zaprasza do współtworzenia pisma.

Poczujcie się jego współgospodarzami...

VariArt



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 02/2025 (67)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.olsztyn.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Dziekiewicz, Krzysztof Kapinos,

Agnieszka Klisz, Anna Rau, Anita Romulewicz, Karolina Rogóż-Namiołko

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Pierwsza strona okładki: Przemek Kozak, skład: Iwona Bolińska-Walendzik

Czwarta strona okładki: Nikola Szajnóg, *PoeTry*, 2025

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski, Olsztyn

Z ROBERTEM SZEWCZYKIEM, gospodarzem i prezydentem Olsztyna rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

Kultura buduje wspólnotę

Kultura bywa nazywana duszą miasta. Jaką duszę ma Olsztyn dziś i jaką chciałby Pan, by miał w przyszłości?

– Zdecydowanie zgadzam się z tym określeniem. Drogi, szkoły, autobusy – to ma każde miasto. Ale o jego charakterze decydują artyści, twórcy, ludzie, którzy wyrwają się ze schematów i nadają przestrzeniom niepowtarzalny klimat. Bez nich Olsztyn byłby jednym z wielu miast, niczym nie wyróżniającym się. Dlatego tak ważne jest pielęgnowanie tej garstki osób, która potrafi sprawić, że nasze miasto ma duszę.

Jakie miejsce w Pana prezydenturze zajmuje sztuka i życie kulturalne?

– Bardzo ważne. Sztuka inspiruje mnie osobiście, co widać choćby w gabinecie – wisi tu obraz Roberta Listwana, z którym się przyjaźnimy od lat. Jego prace są wyjątkowe, bo z jednej strony czytelne i dostępne, a z drugiej mają indywidualny charakter. Listwan potrafi opowiadać o Olsztynie poprzez swoje obrazy. To twórczość, która może trafić do szerokiej publiczności i być świetnym narzędziem promocji miasta, także w nietypowych formach, jak np. koszulki z fragmentami obrazów. Bardzo cenię takich artystów – zakorzenionych w swoim mieście, ale otwartych na świat.

Jak ocenia Pan kondycję instytucji kultury w Olsztynie?

– Każda z nich ma inne potrzeby, ale generalnie mogę powiedzieć, że mamy silne instytucje i świetnych ludzi, którzy nimi kierują. Teatr Lalek przeżywa renesans – spektakle zachwycają dzieci i dorosłych, dlatego dla teatru tworzymy zupełnie nową, nowoczesną siedzibę. Pałac Młodzieży pod młodym kierownictwem znów stał się animatorem życia kulturalnego i pierwszym miejscem spotkania dzieci i młodzieży z twórczością.

Miejska Biblioteka Publiczna wyszła daleko poza tradycyjne ramy – to sieć placówek, które nie tylko udostępniają książki, ale organizują wydarzenia i spotkania kulturalne.

Ogromne znaczenie ma też Miejski Ośrodek Kultury – największa nasza instytucja, organizująca zarówno wielkie wydarzenia jak Dni Olsztyna czy koncerty w amfiteatrze, jak i działania kameralne. Cenię ich niezależność i zdolność do zaskakiwania mieszkańców.

A co z indywidualnymi twórcami – pisarzami, malarzami, muzykami? Czy Olsztyn może być miejscem, które ich zatrzyma?

– Chciałbym, żeby tak było. Część artystów świetnie radzi sobie sama, ale rolą miasta jest wspieranie ich – m.in. poprzez systemy stypendialne i rezydencje. Dlatego przebudowałem Radę ds. Kultury, zapraszając młodych i aktywnych przedstawicieli środowiska, by otworzyć ratusz na nowe głosy.

Mamy naprawdę zdolnych twórców – literatów, malarzy, muzyków – którzy odnoszą sukcesy nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Czasami są bardziej rozpoznawalni poza Olsztynem niż u nas, co pokazuje, że naprawdę warto ich wspierać i być z nich dumnym. Olsztyn jest dobrym miejscem do życia i tworzenia – i chcemy, by tak było jeszcze bardziej.

Jak sprawić, by kultura była dostępna dla każdego, nie tylko dla osób z nią związanych?

– Najważniejsze jest otwarcie instytucji na młodego odbiorcę. Dlatego w pierwszych miesiącach kadencji rozpoczęliśmy program edukacji kulturalnej. Chcemy, aby w ramach zajęć szkolnych dzieci i młodzież mogły regularnie korzystać z oferty teatru, filharmonii czy bibliotek. Jestem przekonany, że jeśli młody



człowiek raz wejdzie do teatru, wróci tam także jako dorosły. To inwestycja w przyszłość kultury.

Gdyby miał Pan wskazać jedno wydarzenie, które najlepiej oddaje ducha Olsztyna?

– Trudno wybrać jedno, bo każdy ma inne potrzeby i oczekiwania. Dla jednych będzie to koncert, dla innych strefa kibica. Dlatego wolę mówić o przestrzeni niż pojedynczym wydarzeniu – a tą przestrzenią jest nasze Stare Miasto. Tam spotykają się różne formy kultury: od rozrywki po sztukę wysoką. Tam budujemy poczucie wspólnoty. Cieszę się, że moda na bywanie w tej części miasta wraca – latem zorganizowaliśmy kilkadziesiąt wydarzeń, od Dnia Dziecka po Dni

Olsztyna, i wszystkie przyciągnęły tłumy. To pokazuje, że mieszkańcy potrzebują miejsc spotkań.

Na koniec – jakie wartości chciałby Pan przekazać mieszkańcom poprzez działania miasta w obszarze kultury?

– Moją rolą jest tworzenie przestrzeni dla rozwoju artystów i instytucji. To oni niosą wartości, budują relacje i wspólnotę. Jako prezydent chcę szanować wszystkie środowiska – zarówno te, które cenią Marsz Równości, jak i te, które uczestniczą w wydarzeniach patriotycznych czy religijnych. Uważam, że Olsztyn jest miastem otwartym i tolerancyjnym, gdzie każdy może się wyrazić. To nasza siła – różnorodność i wzajemny szacunek.

MAGDALENA PAWELSKA

Wiersze

9 LAT

Dziewięć lat – tyle już mieszka u nas pies.
Nie czas go liczyć, lecz kroki, które postawił obok.
W milczeniu, w wierze, w prostocie gestów –
kto by pomyślał, że tak można być.

Nie przyszedł, by błagać o miejsce przy stole,
lecz żeby pokazać, jak żyć w bezpretensjonalnym pokoju.
Czasami skradł kęs, czasami milczał, gdy bo-
lało, lecz zawsze był. Tak po prostu.

Pod jego łapami przeszło wiele światów,
w jego oczach nieustanny spokój.
Nie jest naszą własnością,
jest bardziej jak oddech
– niewidzialny, a konieczny.

Dziewięć lat – chwila i wieczność.
Czy liczby mają znaczenie,
gdy ktoś codziennie uczy cię miłości
bez zbędnych słów?

HOSTING

Serwery pulsują jak serca
w chłodnych halach bez okien,
gdzie powietrze ma smak prądu
i noc nigdy się nie kończy.

Twoje słowa, obrazy,
małe fragmenty życia
leżą na dyskach,
gotowe obudzić się
jednym kliknięciem.

Hosting jest obietnicą,
że nic nie zginie,
że pamięć znajdzie dom
nawet wtedy,
gdy zabraknie światła w tobie.

A przecież to tylko kabel,
szum wentylatorów,
ciąg cyfr i adresów,
jednak mieści w sobie
całe światy.

ZADZWOŃ

Zadzwoń, jak dojedziesz, proszę,
choćby na minutę, z jednym słowem.
Niech wiem, że droga była łagodna,
a świat Cię przyjął bez kolców.

Daj znać, że dotarłeś bezpiecznie,
że noc nie zaskoczyła chłodem.
Ktoś w oknie mignął ciepłym światłem,
drzwi otworzyły się szeroko.

To takie nic, chwila milczenia,
przerwana stukotem liter.
A jednak jak miękka dłoń na ramieniu,
jak koc otulający w podróży.

Czułość to nie są wielkie słowa,
to niebo, które się nie rozstępuje.
To prosta codzienność zdarzeń,
które trzymają nas przy sobie.

MAGDALENA PAWELSKA – (ur. w 1973 r. w Świnoujściu) poetka, autorka tekstów piosenek. Ukończyła studia magisterskie z bibliotekoznawstwa i informacji naukowej na UMK w Toruniu. Z Działdowem związana od 2013 roku. Początki twórczości w Klubie Literackim „Na Wyspie” w Świnoujściu. Od roku 2014 członkini Stowarzyszenia Działdowska Kuźnia Słowa. Zadebiutowała zbiorem pt. „Wierszami śnię” (2014). Autorka i współautorka licznych publikacji Stowarzyszenia Działdowska Kuźnia Słowa. Kolejne publikacje autorki to m.in. tomik „Węzełki” (2020). Autorka tekstów do piosenek na płycie „Na pięciolinii słów” (2020).

MICHAŁ OSTROWSKI
Wiersze

INTRA

do obrazu Marty Wasilewskiej-Fragnowskiej
Ludzkie serce (2025)

nie karm go
zbyt długo
bo pożre twoje ptaki

nie siadaj w sobie
zbyt ciasno
przerosną cię korzenie

co żywe
przędzie
światło w kamieniu

IMIĘ

do obrazu Marty Wasilewskiej-Fragnowskiej
Tylko sztuka nas uratuje (2020)

nie zapomnij
nie zadławić się światem

wyjęć wojen
odchorować billboardów
jak złego dzieciństwa

narysować okna na ścianie
bez ściany oswoić uparcie
milczących krzeseł

przytulić ból
i nazwać go domem

zamieszkać w sobie

na imię ci ocalenie

Tylko sztuka nas uratuje, technika mieszana na płótnie, 2020, Marta Wasilewska-Fragnowska



RAFAŁ GRZYWNOWICZ

Wiersze

ŚLAD PO ISTNIENIU

Nie wiem, czy jestem jeszcze sobą,
czy tylko echem –
odbiciem w źrenicy,
która dawno przestała patrzeć.

Nie mam ciała,
ale wciąż czuję głód
Nie jedzenia
Tylko znaczenia.
Byłem człowiekiem –
z imieniem, twarzą, historią,
a teraz jestem pomiędzy.

Niebo mnie nie przyjęło
Ziemia mnie nie trzyma
Czas mnie nie pamięta,
a przyszłość nie potrzebuje.
Jestem myślą,
która nie ma już ust, by ją wypowiedzieć
Pamięcią, której nikt nie dziedziczy.

Czy to jeszcze życie?
Czy tylko resztką bytu,
która nie potrafi zapomnieć, że była kimś?
Patrzę na ludzi –
na ich śpieszenie się do niczego,
na rozmowy, które nic nie znaczą,

na miłości, które przemijają szybciej niż zmarszczki
I zastanawiam się,
czy miałem rację, wierząc w wieczność.

Czy może wieczność to właśnie to –
trwanie bez wpływu
Obecność bez formy.
Wiem, że kiedyś byłem
Ale dziś – już nie jestem,
tylko bywam

W przeciągu między snem a wspomnieniem
W drzeniu firanki.
W zdaniu, którego nikt nie dokończył.
Jeśli to dusza –
to nieśmiertelność jest bardziej pustką niż darem
Jeśli to kara –
to za to, że byłem zbyt świadomy.
Ale jeśli to łaska,
to może właśnie tu,
w tej bezkształtnej ciszy,
uczę się naprawdę istnieć –
bez ciała, bez imienia,
tylko jako ja.
Bez potrzeby, by ktokolwiek to potwierdził.

LATEM NIE MAM LAT

Latem –
nie mam lat.
Zdejmuję je z ramion
jak cienki sweter z zeszłej jesieni.
Odwieszam do szafy
obowiązki,
kalorie,
smutki,
poważność.
Latem idę boso przez trawę
jak dziecko,
które nie zna jeszcze słowa „nigdy więcej”.
Wiatr mówi do mnie na „ty”,
słońce głaszcze bez pytania.
Ciało nie pamięta metryki,
tylko rytm –
cykad,
fal,
oddechu kogoś bliskiego na leżaku obok.
Latem nie mam lat,
bo każda chwila jest teraz.
A „teraz” nie ma zmarszczek.
Nie zna planów emerytalnych
ani smutku po rzeczach, które się nie wydarzyły.
Woda mnie niesie,
nie pytając o pesel.



Ilustracja do wiersza *Hymn ludzi porzuconych*, Zuzanna Bujarowicz

Lody topnieją szybciej niż mój strach przed jutrem.
Usta smakują jak wiśnie
i nie pytają o konsekwencje.
Latem –
jestem tą wersją siebie,
której nie śmiałem być w lutym.
Bezwstydnie żywą.
Niegrzecznie wolną.
Skandalicznie szczęśliwą, choćby na chwilę.
A potem przychodzi wrzesień
i zegarki znów uczą mnie punktualności.
Ale gdzieś pod skórą –
ciągle czuję,
że latem
nie mam lat.

HYMN LUDZI PORZUCONYCH

My, których nie wybrano,
nie zapisano w żadnym planie szczęścia,
nie objęto ramieniem, gdy świat gaś –
wstajemy z chłodu, z milczenia, z pustki.
My, których opuścili,
gdy było najciemniej.
My, których zostawiono z herbatą,
co ostygła szybciej niż słowo „kocham”.
My – bez imion wypowiedzianych z czułością,
bez listów, które przychodzą,
bez dłoni, na którą ktoś nakłada obrączkę.
Zamieniliśmy łzy w stal nierdzewną.
Z bólu nauczyliśmy się alfabetu wspomnień.
Z ciszy – pieśni, której nikt nie zagra,
ale każdy ją czuje,
gdy świat zamyka drzwi bez słowa.
Nie prosimy o litość.
Nie czekamy na powroty.
Nasze serca są domem dla nas samych.
Nasze ciała – opowieścią bez happy endu,
ale z rozdziałem, który ma tytuł:
„Jeszcze jestem”.
Porzuconym nie zabierzesz godności.
Bo to my nauczyliśmy się chodzić,
gdy wszyscy odwrócili wzrok.
To my umiemy nie spać, nie czekać, nie kłąć –
i mimo to
kochać.

RAFAŁ GRZYWNOWICZ – (ur. 1977 r.) mieszka w Olsztynie, pochodzi z Bartoszczyk.
Poeta i pisarz. Opublikował dwa tomiki poezji: „Rozdarci” i „Droga”.

OLIWIA JARONÍ

Wiersze

CUKSY

położyłam wszystkie swoje myśli
na stole obok kawy
rozrzuciłam je w chaosie
niczym puzzle wprost z pudełka
miały kolor mlecznej mgły
burzowego nieba
niektóre rozlewały się jak kałuża
inne miały ziemisty zapach
nie postodzę sobie nimi kawy
wzięłam je więc w palce
i każdą po kolei zawinęłam
w szeleszczące i błyszczące papierki
wszystkie wyłożyłam na niebieski talerzyk
i poukładałam starannie
niemal jakby w jakimś celu
jak gorzkie lecz piękne cukierki
nie postodzę sobie nimi kawy
dziś obejdę się smakiem

DANUSIA

pod stopami
zaczynają chrzęścić liście
ten dźwięk zawsze
przypomina mi o tobie
choć nie pamiętam już
twojego głosu

w kwaciarniach
pojawiły się już wrzosi
choć ty zawsze kochałaś
storczyki
a na sklepowych półkach
przypominają mi o tobie
czekoladowe batony

buty zakładałaś
za wcześniej przed wyjściem
ja za wcześniej
musiałam kupić
czarne ubranie

raz przyszedł do mojego snu
przyniósł ciepłą zupę
choć prawie cię nie zapamiętałam
zanim zaczęłaś znikać

mam jedno twoje zdjęcie
gdzie jesteś sobą
wśród kwiatów

pewnie jesteś teraz jednym z nich
piwonią na jednym z krzaków
lub storczykiem w doniczce
na parapecie jednej z sąsiadek

EMILIA SYPNIEWSKA

Wiersze



Ludzkie serce, technika mieszana na płótnie, 2025, Marta Wasilewska-Fragnowska

TO JUŻ BYŁO, LECZ JEST NOWE

niepodobna jestem do siebie
umiera we mnie –
szary ptak

niepodobna jestem do siebie
rodzi się we mnie –
błękitny szal

niepodobna jestem do siebie

lecz ja przypominam samą siebie
tylko ty
widzisz mnie pierwszy raz

SZKŁO HARTOWANE

siła
potrzebuje sprzeczności

ogień i lód

miłość
potrzebuje
ochrony

przed
rozbiciem
się

Emilia Sypniewska
Szafran

pośpiesz się
za chwilę
stracę
drogocenne
właściwości

o świetle
twoje dłoń
cierpliwie
zbiorą
każde
ocalone
słowo

MAGDALENA LEWCZUK

WIOSNA W GRZE

No, nareszcie wiosna! Koniec z zastaniającymi wszystko partiami śniegu, minusami do zręczności na lodzie i durnych NPC-ów ze śnieżkami.

Nadszedł sezon rozmigotanych shaderów na skrzydłach owadów, pikników w parkach i kolorowych kwiatów namalowanych vertex brushem. Już widzę, jak pięknie się będą rozpierdalać pod kołami mojego Jaguara.

Muszę kupić jakiegoś zgrabnego skina na tę okazję. I chleb dla kaczek. Strasznie stereotypowe, ale dobra, niech im będzie. Cyfrowy drób się raczej nie pochoruje od pieczywa.

A jako wisienka na torcie – mamiący zmysły zapach świeżo skoszonej trawy. O ile naprawią buga, bo na razie wszystko wali czekoladą. Trochę zjebane, ale w sumie też ładnie.

DEMON W PUDEŁKU

Wszyscy mamy swoje demony.

Mojego znalazłam przy drodze. Miał mokre futerko i trząst się z zimna. Ostrożnie włożyłam go do czapki i schowałam za pazuchę.

Dostał ciepłą wodę z cukrem i powoli zaczął się uspokajać. Zrobiłam mu postanie w pudełku wyłożone szalikiem i motkami wełny. Uparciuch nie chciał jednak zejść mi z kolan. Zwinął się i, mruczając, błyskawicznie zasnął. Miał wtedy najszcześliwszą mordkę na świecie.

Aportowanie piłęczki i nekromancja zostały ulubionymi zabawami. Czasem poluje na stopy, ale za to nigdy nie załatwił się na dywanie.

Moi rodzice początkowo nie chcieli go adoptować, ale w końcu zmienili zdanie.

Hipnoza naprawdę działa.

ELEUSA

W wieku sześciu lat doznałam objawienia.

Budzę się nad ranem w sypialni rodziców (o ile można nazwać sypialnię pokój przechodni między łazienką a kuchnią).

Wszyscy jeszcze śpią. Powiedziałabym, że to przez niedzielę i Mikołajki, ale u nas się późno kładzie i jeszcze później wstaje.

Otwieram oczy. Moja dwuletnia siostra leży w poprzek wersalki w skotłowanej pościeli, a naprzeciwko, na białych drzwiach z dykty, w okienku ze szkłem ornamentowym – ikona.

Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus na ramieniu. Typowa Eleusa w odcieniach błękitu i srebra.

Co ona tu robi? Zamykam oczy. Otwieram. Obraz, choć nie całkiem materialny, nie znika.

Jeszcze tak ze trzy razy dla dobrego rachunku, ale wciąż tu jest.

Odwracam głowę i znów patrzę.

Co to za przekłety cud?

Zaczynam się niepokoić.

Szukam racjonalnego wyjaśnienia.

Może to lasery? Widziałam w telewizji, że naukowcy nad tym pracują.

Może ci naukowcy byli jednak z kreskówki...

Bojaźń wywołana zbyt bliskim kontaktem z niepoznawalnym rośnię. Macham jedną ręką, drugą – Miłosierna nie znika.

Chowam głowę pod kołdrę.

Zasypiam.

Pobudka tym razem była już normalna. Żadnych boskich interwencji.

Można spokojnie udawać, że nic dziwnego ani świętego się dziś nie wydarzyło.

Najgorsze jednak z tamtego grudniowego dnia jest to, że rodzice źle podpisali prezenty i dostałam zabawki dla dwulatka zamiast poważnej książki z grą o pomocnikach Świętego Mikołaja. Przecież byłam już prawie dorosła.

MAGDALENA LEWCZUK I ALEKSANDRA TCHÓRZEWSKA – Pracownia Literacka – Miejski Ośrodek Kultury w Olsztynie i Miejska Biblioteka Publiczna w Olsztynie.

ALEKSANDRA TCHÓRZEWSKA

Taka scenka, wyobraź to sobie

OSOBY: DZIENNIKARKA, REDAKTOR

SCENA I

Wnętrze redakcji. Późne popołudnie. Biurka zastawione monitorami, pulsujące światło jarzeniówek. Na podłodze ciemnozielona wykładzina gdzieś niedługo się starta niemal do zera. Stukot klawiatury. Dźwięk telefonów: krótkich, natrętnych. Urywane rozmowy.

REDAKTOR

(nerwowym, podniesionym głosem, zza swojego biurka)
Kiedy będzie tekst?!

DZIENNIKARKA

(pochylona nad klawiaturą, nie odwraca się)
Jeszcze dwadzieścia minut.

REDAKTOR

(gwałtownie wstaje, krzesło uderza o ścianę)
Kurwa. Dwadzieścia minut?! Następna.
W dupach wam się poprzewracało!
Zaczyna chodzić po pomieszczeniu. Przeczesuje włosy ręką. Dyszy. Syczy. W końcu siada.

DZIENNIKARKA

(wolno, drżącym głosem)
Spokojnie. Zdążymy.

REDAKTOR

(nerwowo, śledzi coś na ekranie, mówi do siebie)

Tu na szpalcie tego chuja jeszcze musimy zmieścić.

Posła.

A wpadła reklama.

(pauza)

Nie wiem, jak to zrobimy...

Dzwoni telefon.

REDAKTOR

(do słuchawki, niezwykle uprzejmie)
Dzień dobry, panie pośle. Oczywiście. Oczywiście, będzie pańska wypowiedź w całości. To dla nas prawdziwy zaszczyt.
Niczego nie skracamy.
Pozdrawiam serdecznie.
Odkłada słuchawkę.

DZIENNIKARKA

(nieśmiało, zawieszając głos)
Tekst się autoryzuje. Ale... jest problem ze zdjęciem.
Przemek robi teraz galę i musimy czekać, aż wróci.

REDAKTOR

(wybuch)
Was popierdoliło już całkiem?!
Łamacz na tekst czeka, gazetę trzeba zsyłać do drukarni, a wy nie jesteście w stanie całości ogarnąć?!
(uderza pięścią w biurko)
Tylko wierszówek wam się zachciewa nie wiadomo jakich.

Pięćdziesiąt złotych za całą stronę byście najlepiej chcieli!

(do siebie, pogardliwie)

Sam bym lepsze zdjęcia komórką zrobił...

DZIENNIKARKA

(nagle odwraca się do niego, szczebiocze wesoło)
Zdjęcie jednak już jest!
Przemek przysłał z gali.
Tekst wrzuciłam w backoffice. Sprawdź, szefie.

REDAKTOR

(patrzy w ekran. Zastyga, po chwili mówi zimno, beznamiętnie)
I tak go nie wydrukujemy.
A jutro wiadomo, będzie już nieaktualny.
(DZIENNIKARKA patrzy pytająco)

REDAKTOR

Posła przysłał jednak nową, dłuższą wypowiedź.
I nekrologi jeszcze muszą się zmieścić.
Wymyśl na jutro siedem nowych tematów.

REDAKTOR

sięga po kubek z zimną kawą. Głośno siorbie.

DZIENNIKARKA

siedzi bez ruchu. Patrzy w ścianę. Na ekranie miga kursor. ■

ALEKSANDRA TCHÓRZEWSKA

Wiersze

mama pyta mnie co dziś ugotowałam
i czy pamiętam żeby złożyć na nowe 800
plus

a sweter którego już nie chcę nosić
mogę rzucić do kontenera
co stoi przy moim domu
tej czarnej dziurze
co się jeszcze dymi

mam wszystko popękane
wykrwawiły mi się okna
oderwały stropy
zeszły ze mnie tynki

nie umiem bawić się w dom mamó
tu gdzie postawiłaś stoiki na zimę
odeszły mi wody

krzyczałaś
że przecież
teraz

nie wyschnie do wiosny

CZUJNIK

kim są
ci wszyscy ludzie

co rano
wychodzą do pracy
wsiadają do aut

piją kombuchę
aplikują ashwagandę

wieczorem
joga
pilates
wirtualne stymulacje
afirmacje smart

oni
nawet śnią generatywnie
terapeuta im kazał
mieć sny pod algorytm

ja wybudzam się
i
aż chce się
nieżyć



W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

GALERIA ARESZT SZTUKI

Rok 2025 to rok jubileuszowy Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia Areszt Sztuki – dwudziestolecie działalności zaaresztowanych dla sztuki. Rok ten przyniósł nam dużą zmianę. Pod koniec lutego otrzymaliśmy, świeżo wyremontowany, lokal w Domu Gazety Olsztyńskiej Muzeum Warmii i Mazur z przeznaczeniem na galerie.

Oficjalne otwarcie, podpisanie umowy o współpracy z Muzeum Warmii i Mazur. Zobowiązania, że będziemy pilnować porządku, dbać o poziom wydarzeń i inne ustalenia. Entuzjazm i chwile rozterek, czy podaliśmy, czy społeczność artystyczna jest przygotowana na społeczną działalność.

Przed otwarciem grupa artystów zebrała się i wyremontowane pomieszczenie przygotowała do ekspozycji naszych prac – przycięli płyty, zbili konstrukcję, pomalowali całość i zamontowali na ścianach stelaże. Kolejny zespół wysprzątał pomieszczenie. Powołana Rada Programowa stworzyła regulamin galerii.

Wernisaż pierwszej wystawy ph. *Prolog* odbył się 28 lutego, zaprezentowało się w niej około trzydziestu członków stowarzyszenia.

W nowej Galerii działamy już od kilku miesięcy, kolejni artyści prezentują swoje prace. Dodatkowo jest to miejsce, w którym możemy realizować nasze pomysły – festiwale, warsztaty, pokazy, plenery i inne wydarzenia kulturalne.

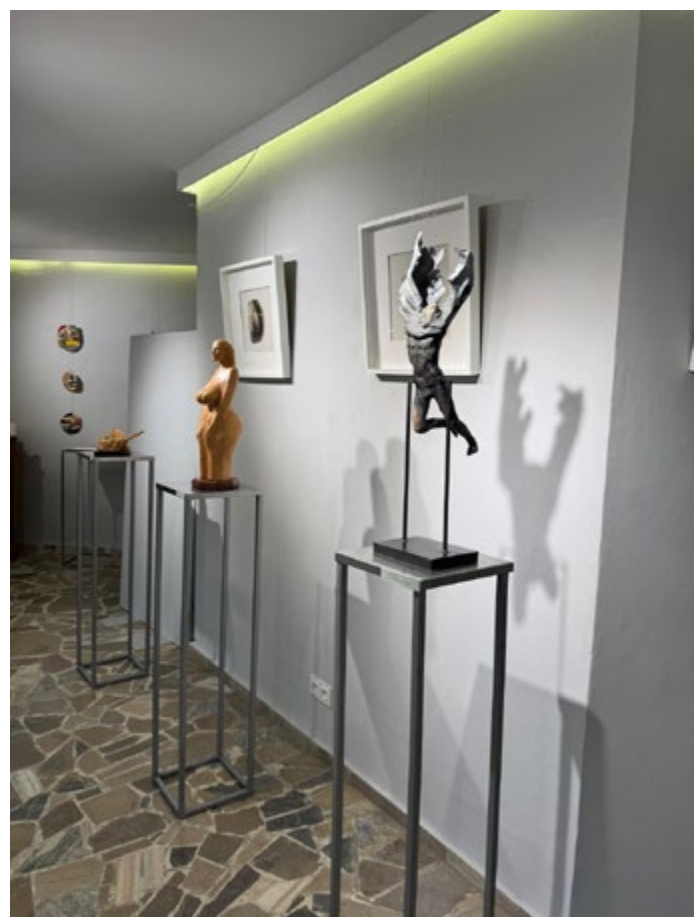
Bycie gospodarzem to coś więcej niż „galeria”, tu artyści społecznie pełnią dyżury, podczas których spotykają się bezpośrednio z odbiorcami swojej sztuki. Jest to dla nas coś bardzo wartościowego, NASZE MIEJSCE, dla nas i naszej sztuki. ■

IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK – prezes Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia
Areszt Sztuki



Galeria Areszt Sztuki





Fot. z archiwum wystaw w Galerii Areszt Sztuki, 2025

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Wodne opowieści

Kraina Tysiąca Jezior i mokradeł też ma swoje wodne opowieści...

LEGENDA O BURSZTYNOWYM SERCU SMOKA

Na krańcach Żuław, tam, gdzie ziemia niepewna, a woda mówi więcej niż ludzie, krążyła szeptem opowieść stara jak mgła – o sercu smoka, które nie było z krwi i mięśni, lecz z bursztynu i światła.

Mówiono, że dawno temu, gdy Fjorglimr – smok srebrnych tusek – przybył z Północy, nosił w piersi serce miękkie i ciepłe, jak wszystkie stworzenia. Ale ludzie, którym z daleka towarzyszył, choć byli mu i światu życzliwi, byli też pełni niepokoju. Każdy dzień przynosił im coś nowego: łodzie z obcych krain, kupców, żołnierzy, złe sny i niepewne plony. Smok czuł to wszystko. A że był istotą starej magii, jego serce chłonęło troski mieszkańców Truso jak gąbka wodę. I w końcu – pękło. Nie w bólu, lecz w oddaniu, bo smok oddał je ludziom – symbolicznie, w geście głębokim jak dno morza, zza którego przybył. Smok jednak żył, a w jego wnętrzu, z popiołów ciała i z tchnienia ognia, wyrosło nowe serce. Zrazu niewielkie, mleczne, jak kropla żywicy. A potem wzrosło, stwardniało, nabrało złotej głębi – i zaczęło świecić. A czy takie bursztynowe serce biło w jego piersi, jak to dawne? Nikt tego u smoka nie badał.

Tak czy owak, od tamtej chwili, z każdym jego oddechem, we mgle nad Żuławami co noc pojawiała się jasność. Niewielka, ciepła, jak płomień świecy – i trwała aż do świtu. Ludzie, którzy wracali z potowów czy z podróży, mawiali, że widzieli to

światło i nie zblądzili. Kupcy zapewniali, że ich statki unikały mielizn, gdy płynęły przy blasku smoczego serca. A matki powtarzały dzieciom, że gdy będą płakać zbyt gorzko, smok je odnajdzie i zabierze – bo jego serce czuje każdą prawdziwą łzę.

Pewnego dnia, wiele zim później, smok zniknął. Nie było huku skrzydeł, niebo nie pociemniało. Po prostu – nie pojawił się jak zwykle nocą nad Żuławami. Tylko światło nad Truso zostało. Małeńkie, ale wyraźne. I wtedy ktoś odnalazł wśród trzciny spory kamień – złoty, jakby wewnątrz nosił promień słońca, i pulsujący wyraźnie, choć szybko – niczym znękanе serce. Gdy trzymało się go w dłoni, serce biło spokojniej.

Dziś niektórzy jednak mówią, że ten pierwszy smoczy bursztyn leży gdzieś pod ziemią, może nawet pod ruinami Truso, a może na dnie jeziora Druzno. Inni wierzą, że każde ziarenko bursztynu to okrucieństwo serca smoka – i że kto nosi je przy sobie, nosi odrobinę jego mocy: odwagi, opieki i światła, które nie gaśnie, nawet gdy wszystko wokół zasnuwa się mgłą.

Czy to jednak oznacza, że smok umarł? Albo że w końcu odleciał bez serca? A może jednak wyrosło mu nowe – koralowe? Legendy, jak zwykle w takich sprawach, milczą lub się kłócą.

Anna Rau



Fot. Iwona Bolińska-Walendzik

ZŁE Z JEZIORA

Już nie tylko siatka rzucana jest na wodę, by złowić rybki co to je Złe pielęgnuje, siatka otoczyła również jezioro.

Złe z wody raczej nie wychodzi, bo i po co. Nie ma tam ryb, małży, chrustików, glonów i innych wodnych bywadeł.

Ale gdy pojawiła się siatka dookoła akwenu, Złe zaczęło się zastanawiać, a co jest za nią, a właściwie to chciałoby wyjść. Ma dosyć zajmowania się ciągłym pilnowaniem narybku, rozsiewaniem roślin wodnych, cudeniem śniętych ryb pod lodem. Jakoś bez Złego sobie poradzą. I co to są te błękitne niby domki, które jak grzybki wyrosły na trawie, na brzegu. Nie spodobały mu się. Stwierdziło, że ominie je szerokim łukiem i zrobi żabi skok do innego jeziora. Tylko jak przedostać się przez te siatki.

Iwona Bolińska-Walendzik

ANDRZEJ KUROWSKI

Areszt?

Przenieśmy się na teren Starego Miasta w Olsztynie w słoneczny majowy dzień. Prawdę powiedziawszy, „scena” wydarzenia, które chcę opisać to przestrzeń pomiędzy arkadami restauracji „Staromiejska” i fontanną. Tam właśnie znany artysta malarz Marek Świątecki wraz z grupą „sztukmistrzów” z różnych branż ustawił stół restauracyjny mający odegrać rolę prezydium i około 20 krzeseł dla przyszłych członków założycieli wielobranżowego stowarzyszenia skupiającego artystów. I tym razem znalazłem się w ich gronie, nie posiadając żadnych tego rodzaju zdolności. Za stolikiem zasiadł Marek, a na krzesłach zainteresowani artyści. Widok był na tyle zaskakujący, że wokół zaczęli się gromadzić spacerowicze, turyści i mieszkańcy okolicznych budynków żądni sensacji. Okazało się, że i tym razem powierzono mi rolę Przewodniczącego Zebrania Założycielskiego. Moim zadaniem było doprowadzenie do powołania stowarzyszenia, zatwierdzenie jego statutu (a w jego treści również nazwy), wyboru zarządu i komisji rewizyjnej oraz uchwalenie programu działania na pierwszą kadencję. Powierzenie mi przewodnictwa w obradach miało jeszcze jeden zasadniczy cel – miałem doprowadzić do rejestracji stowarzyszenia w Krajowym Rejestrze Sądowym.

W wyniku tego happeningu powołano komitet założycielski w składzie: Marek Świątecki, Julia Tarnowska i Marek Markiewicz, uchwalono Statut oraz wybrano członków Zarządu i Komisji Rewizyjnej. Z nazwiskami osób wchodzących w skład tych organów można zapoznać się, dokonując wglądu do Krajowego Rejestru Sądowego, gdzie pod nr KRS 0000237348 postanowieniem z 19.07.2005 r. zarejestrowano Stowarzyszenie. Twórcą pełnej dokumentacji dającej podstawę rejestracji był piszący te słowa.

Jeszcze kilka miesięcy przed wydarzeniem, którego opisywanie rozpocząłem powyżej, Marek Świątecki gronu przyjaciół – a w tej liczbie i mojej skromnej osobie – przedstawił wizję utworzenia w Olsztynie domu pracy twórczej w... Areszcie Śledczym znajdującym się w samym centrum naszego miasta przy alei Piłsudskiego. Swoją plan przedstawił zarówno ówczesnemu „szefowi” tego przybytku, Krzysztofowi Borkowskiemu, jak również Zarządowi Głównemu Więziennictwa i stosownemu Ministerstwu. Wyobrażenia Marka podpowiadała wyburzenie znacznej

części muru i przerobienie cel na pracownię artystyczne. Nie wiem, czy to przypadkiem nie w formie łapówki Marek przekazał dyrekcji więzienia swoje liczne prace, które do dziś upiększają z natury rzeczy ponure korytarze budynku więzienia. Podobno powołanie stowarzyszenia miało być krokiem w kierunku realizacji marzeń Marka. To właśnie ta organizacja miała przejąć areszt na cele olsztyńskiej kultury. W tym miejscu nie mogę się powstrzymać przed małą wrzutką. Do dziś na więziennym murze można „podziwiać” wymalowane reklamy. Będąc radcą prawnym Agencji Reklamowej EMI, należącej do Ewy Marii Iwańskiej, tworzyłem i negocjowałem z Zakładem Karnym warunki umowy, mocą której firma ta dzierżawiła na swoje cele przedmiotowy mur. Inną umowę z tym Zakładem, ale już na remont części Zakładu Karnego w Barczewie, tworzyłem i negocjowałem, pracując już w Warmińskim Przedsiębiorstwie Budowlanym sp. z o.o. W obu przypadkach negocjacje prowadzone były ze strony Aresztu przez wspomnianego powyżej Krzysztofa Borkowskiego i jego radcę prawnego Katarzynę Skrodzką-Sadowską. O ile doszło do zawarcia przedmiotowych umów, to ze względu na negatywne stanowisko szefa Aresztu Śledczego do dziś nie doszło do spełnienia marzeń Marka, nawet w minimalnej części. Zachodzi co prawda możliwość, że na czas jakiś któryś z olsztyńskich artystów odszukał swoją pracownię w przedmiotowym budynku, pozostawiając część swoich dzieł w tym miejscu.



Powróćmy jednak na Stare Miasto do dnia 26.05.2005 r. Najwięcej czasu poświęciliśmy na wymyślenie i zatwierdzenie nazwy stowarzyszenia. Padło wiele propozycji, ale akceptację uzyskała nazwa nawiązująca do marzeń Marka: „Areszt Sztuki”. Kolejna sporna sprawa to siedziba Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia „Areszt Sztuki”. W tym czasie, o ile dobrze pamiętam, prezydent Olsztyna był Czesław Jerzy Małkowski. W czasie, gdy powoływaliśmy Stowarzyszenie, Marek i Krysia Świąteccy zamieszkiwali w Gronitach, a więc poza granicami Olsztyna. Umieszczenie siedziby Stowarzyszenia w tej miejscowości wywołałoby skutek w postaci podlegania Stowarzyszenia staroście olsztyńskiemu, a nie prezydentowi Olsztyna. Będąc przewodniczącym Zebrania Założycielskiego zgłosiłem na siedzibę organizacji szufladę w biurku stojącym wtedy jeszcze w moim mieszkaniu przy ul. Grunwaldzkiej. Ta propozycja przeszła i mieszkanie to do 2021 r. pełniło rolę siedziby „Aresztu Sztuki”.

Od kilku kadencji prezesem Stowarzyszenia jest Iwona Bolińska-Walendzik. Marek pożegnał się z tym światem w 2021 r., pełniąc zaszczytne stanowisko honorowego prezesa Stowarzyszenia. Pod obecnym kierownictwem Stowarzyszenie odnosi liczne sukcesy, a dzięki aktywności i dobrej ręce Elżbiety Fabisiak, wielu członków Stowarzyszenia uzyskuje liczne wyróżnienia i odznaczenia. Dnia 24.11.2022 r., odbyło się kolejne Walne Zgromadzenie Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia „Areszt Sztuki”, na którym wybrano Zarząd w tym samym składzie, jaki działał w upływającej kadencji. Jest to chyba najlepszy dowód na wysoką ocenę jego pracy przez członków. Nie muszę dodawać, że i temu Walnemu przewodniczyłem. Gdy piszę to ostatnie zdanie „Areszt Sztuki” posiada galerię wystawową na Targu Rybnym, a i obchodzi swój kolejny okrągły jubileusz.

Oficjalnie Galerię otrzymaliśmy 28.02.2025 r. na mocy umowy, jaką zarząd podpisał z Dyrektorem Muzeum Warmii i Mazur Piotrem Żuchowskim. Uroczystość przekazania lokalu uświetnił Wiceminister Kultury Maciej Wróbel, który po przecięciu symbolicznej wstęgi poinformował uczestników uroczystości o wyróżnieniu olsztyńskiego artysty Wiesława Wachowskiego Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Ponadto minister osobiście przekazał nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa



Fot. Marek Świątecki, znak aresztantów

Narodowego za wybitne osiągnięcia artystyczne fotografikowi z Dobrego Miasta Andrzejowi „Szczurkowi” Waszczukowi. Oba te wyróżnienia spotkały się z aplauzem publiczności zgromadzonej licznie wewnątrz i na zewnątrz otrzymanego lokalu. Dalsze uroczystości odbywały się już w Sali Kopernikowskiej olsztyńskiego zamku. Konferansjerkę prowadziła Jolanta Wiszniewska. Zaprosiła ona do zabrania głosu radcę prawnego Krzysztofa Borkowskiego, byłego szefa olsztyńskiego więziennictwa. To ten sam, który nie podzielał entuzjazmu Marka Świąteckiego co do zorganizowania w podlegającym mu Areszcie Śledczym domu pracy twórczej.

Krzysiek, a mowa o wspomnianym wyżej radcy prawnym, to jeden z moich najbliższych branżowych kolegów. Mam przekonanie, że jest jednym z najbardziej zorientowanych w kulturze i czytanych moim znajomym. W związku z tym dla obecnych na zamku uczestników uroczystości nie było zaskoczeniem, że złożył samokrytykę, oświadczając że idea Marka to świetny pomysł, a materialnym i symbolicznym wyrazem zmiany jego poglądów było wręczenie prezesce Iwonie Bolińskiej-Walendzik znacznej wielkości klucza do Aresztu. ■

Mec. ANDRZEJ KUROWSKI, olsztyński radca prawny. Wspiera organizację pozarządowe, wieloletni Prezes Olsztyńskiego Stowarzyszenia Pomocy Telefonicznej.

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA

Cykl: Co warto czytać? Czyli słów kilka o książkach z Warmii i Mazur

Książka o papieżycy polskiego reportażu

Choć w Olsztynie od 2009 r. Zarząd Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP ogłasza co roku Konkurs im. Seweryna Pieniężnego, skierowany do dziennikarzy i publicystów Warmii i Mazur, to nie wyłonił on przez wiele lat wybitnej książki reportażowej. Dopiero przedsięwzięcie dyrektora Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, znanego reżysera Zbigniewa Brzozy, przyniosło ciekawe teksty prozatorskie. Z jego inicjatywy powstało przy teatrze Studium Reportażu, prowadzone przez Włodzimierza Nowaka wywodzącego się z „Gazety Wyborczej”, a także wielu innych znanych polskich reportażystów, którzy zainspirowali swoich uczniów do pracy nad własnym warsztatem. Powstały w ramach zajęć ciekawe reportaże, m.in. Beaty Szady, Martyny Siudak czy Michała Ostrowskiego.

O wiele lepiej wygląda w Olsztynie sprawa z prowadzeniem badań naukowych nad reportażem. W Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie zajmuje się tym gatunkiem kilka osób; powstają na jego temat doktoraty i habilitacje, wydawane są antologie reportaży. Wśród badaczy wyróżnia się prof. Bernadetta Darska, autorka kilku ważnych ujęć teoretycznych na ten temat, laureatka Nagrody Prezydenta Olsztyna za rok 2024 w dziedzinie nauki, Statuetki św. Jakuba. Są to prace: *Pamięć codzienności, codzienność pamiętania. Szkice o reportażu polskim XXI wieku (2014)*, *Maski zła. (Nie)etyczność postaw i zachowań jako temat współczesnego reportażu polskiego (2016)*, *Młodzi i fakty. Notatki o reportażach roczników osiemdziesiątych (2017)* i *Czas reportażu. O tym, co dzieło się wokół gatunku po 2010 roku (2023)*.

Do najnowszych osiągnięć Bernadetty Darskiej należy publikacja pt. *Szejnert. Szczegół*, która ukazała się w 2024 r. w serii Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego „Egzystencja i Literatura”, poświęconej wybitnym polskim pisarzom i opartej na trzech wyznacznikach: biografii pisarza, jego tożsamości i doświadczeniu. Przyporządkowanie gatunkowe tej książki nie jest więc jednoznaczne, bowiem z jednej strony stanowi ona rodzaj naukowej analizy dziennikarskich zapisów, z drugiej

zaś swego rodzaju reportaż o utalentowanej reportażystce Małgorzacie Szejnert. Bernadetta Darska po raz pierwszy próbuje więc stanąć w szranki z innymi. Nie odstawia co prawda na bok aparatu naukowego, wyposażając każde przytoczenie obcych słów czy jakiejś publikacji w konieczny przypis oraz opatrując publikację staranną bibliografią, jednak w stylu tej wypowiedzi można odnaleźć reporterskie zacięcie. Świadczą o tym pewne śmiałe tezy, wtrącenia i odniesienia, świadczące o tym, że autorka książki o Małgorzacie Szejnert unika naukowego dystansu. Szejnert nie jest dla niej podmiotem badań, ale osobą, która stanowi niepodważalny autorytet, wzbudzający wielki podziw. W ten sposób książka nie staje się tylko wyliczeniem zasług reportażystki, ale nabierającą wraz z lekturą coraz większego rozmachu historią o niezwykle wartościowym człowieku.

Bernadetta Darska po krótkiej prezentacji biografii słynnej reportażystki, związanej pracą z różnymi redakcjami, a najdłużej, bo przez ponad 30 lat z „Gazetą Wyborczą”, i wychowawczyni kilku pokoleń adeptów sztuki słowa pisanego, zajmuje się omówieniem całej jej reporterskiej działalności. Kolejne rozdziały poświęcone są szczegółowemu zaprezentowaniu kolejnych etapów twórczości. Wnikliwa lektura niemal wszystkich reportaży Szejnert (ich pokaźna lista znajduje się w bibliografii na końcu książki) wpłynęła na kształt autorskiej narracji. Darska nie tylko przytacza temat, a czasem treść każdego tekstu, komentuje opisane zdarzenia, ale także uzasadnia słuszność podjętej problematyki. Choć ta strategia całkowitej aprobaty dla dokonania Szejnert jest widoczna od początku do końca, nie razi to zbyt podczas lektury, choć czasem zastanawia. Mamy tu do czynienia z poddaniem się urokowi warsztatu „papieżycy polskiego reportażu”.

Bo też Małgorzata Szejnert stała się dla rozwoju tego gatunku w Polsce postacią ikoniczną, autorką, wraz z Hanną Krall, polskiej szkoły reportażu, wpływającą na jego kształt w nowym wieku. Urodziła się jeszcze przed wojną, w 1936 r. w Warszawie, ale dzieciństwo i młodość spędziła w Białej Podlaskiej. Zrealizowała swoje marzenia

o dziennikarstwie, kończąc Wydział Dziennikarstwa UW. W latach 70. pracowała w kilku ważnych redakcjach m.in.: białostockich „Kontrastach”, warszawskiej „Polityce” i „Literaturze”, drukowała swoje teksty także w magazynie „Ekspres Reporterów”. Te wielkie tytuły pokazują zasięg oddziaływania jej artykułów i możliwości wpływania na czytelników. Darska zwraca uwagę na opublikowany w „Polityce” w 1973 r. reportaż Szejnert o polskiej arystokracji pt. *Mitra pod kapeluszem*, który wywołał niezwykle pozytywny odzew społeczny, a jednocześnie naganę ówczesnych władz. Czasy sierpnia 1980 roku wzmogły zainteresowanie reportażystki życiem zwyczajnych obywateli PRL-u. Powstał wówczas, podczas strajków w Szczecinie, tekst *Szczecin. Grudzień – sierpień – grudzień*, który ukazał się najpierw w Wielkiej Brytanii, a potem w Polsce w drugim obiegu w 1984. Ten reportaż i kolejne dwie książki Szejnert: *Sława i infamia. Rozmowa z Bohdanem Korzeniewskim* (Londyn 1988) oraz *Śród żywych duchów* (Londyn 1990) staną się znamienne dla sztuki przez nią uprawianej. Wyznaczają jej pewien wzorzec zachowania, polegający na upominaniu się o sprawiedliwość i budowaniu etosu z wartości dominujących.

Książkowy debiut Małgorzaty Szejnert nastąpił jednak dużo wcześniej. W 1972 r. ukazała się jej książka pt. *Borowiki przy ternpajku* i była to relacja z jej dwumiesięcznego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Powróciła do tej problematyki, gdy w latach 80. zdecydowała się na kilkuletnią emigrację. To czas spędzony w USA wykorzystała później do książki opublikowanej w 2009 pt. *Wyspa klucz*. Pobyt w Stanach sprzyjał także pracy zawodowej. Po raz pierwszy pisała w wolnych mediach, ucząc się praktykowania wolności słowa. Powrót do Polski nastąpił już w 1986 r. Po przełomie 1989 r. Szejnert objęła kierownictwo działu reportażu w „Gazecie Wyborczej”. Temu okresowi Darska poświęca wiele miejsca, uważając, że codzienna opieka nad kolejnymi rocznikami młodych dziennikarzy to największe dzieło „Królowej Śniegu”, jak nazywali ją współpracownicy łajani za „niedrukowalne” teksty. Zdystansowana, ale stała i bezwzględna pomoc Szejnert pozwoliła wielu z nich uporządkować i ukształtować własny warsztat. Mowa tu o Mariuszu Szczygłe, Wojciechu Tochmanie, Ewie Winnickiej, Piotrze Smolińskim, Magdalenie Grzebałkowskiej i wielu innych.

Przez blisko 15 lat nie wydała żadnej książki reporterskiej. Ochota na pisanie dojrzała i doprowadziła reporterkę do osiągnięć doskonałych, czego wyrazem było pięć reportaży, które ujrzały światło dzienne w XXI wieku: *Czarny ogród* (2007), w finale Nagrody Nike, wspomniana wcześniej *Wyspa klucz* (2009), nominowana do Nagrody Nike, *Dom zółwia. Zanzibar* (2012), w finale Nagrody Nike, *Usypać góry. Historie z Polesia* (2015) i ostatnia *Wyspa Węży* (2018). Oprócz gradu nagród i nominacji,

które spadły na te reportaże, wszystkie zbiory, zdaniem Bernadetty Darskiej, wiele łączy. Choć różnią się od siebie miejscem akcji – od Śląska, nowojorskiej Ellis Island, przez Zanzibar, wyspę Bute w Szkocji po Polesie, badaczka widzi we wszystkich utworach podobieństwo sposobu wyboru tematyki, a następnie jej podejmowania. Wśród adekwatnych określeń znajduje słowo wyspiarskość w sensie dosłownym, jak i metaforycznym. Drugim określeniem porządkującym mechanizm doboru tematyki jest pograniczność, także traktowana podobnie: jako miejsce i synonim bycia w przestrzeni pomiędzy starymi a nowymi czasami, a także gdzieś obok, a nie w centrum zainteresowania. Czytelnikowi imponuje ponownie, tak jak w przypadku poprzednich książek Szejnert, praca, jaką reporterka musiała wykonać, by zebrać materiał faktograficzny. Tym razem sięgnęła do źródeł historycznych i odpowiednio je uporządkowała. Jednakże jeszcze większe wrażenie robi sposób, w jaki reportażystka zaprezentowała swoje informacje: szacunek dla opisywanych osób, ostrożność w prezentowaniu faktów, dbałość o szczegóły, które – odpowiednio odszukane i dopasowane – stanowią o całości wypowiedzi. Zdaniem Darskiej to właśnie ta ostatnia umiejętność – szczegół – wyróżnia piarstwo reportażowe Małgorzaty Szejnert, stąd termin ten pojawia się w tytule książki.

Darska nie traci w żadnym momencie szacunku do bohaterki swojej opowieści. Wszystkie jej dokonania wysoko ceni i nieustannie przekonuje czytelników, że mamy do czynienia z osobą niezwykle. Wielokrotnie przywołuje jej mrówczą pracę, co w profesji reportażysty jest bardzo cenne, bo z masy zebranych informacji trzeba wybrać te najważniejsze, a przy tym nie skrzywdzić swojego bohatera. Szejnert, co udowadnia Darska, zaczęła od samego początku bycia dziennikarzem upominać się o niedocenionych, i niewidocznych (np. reportaż o Simonie Kossak i jej leśniczówce). Z czasem krąg jej bohaterów i tematów poszerza się o najślabszych i uciemnionych (reportaże o strajku w Szczecinie), ukrytych poza mainstreamem. Reportażystka, jak pisze Bernadetta Darska, zawsze jest otwarta na człowieka – egzystuje wśród ludzi i dla ludzi, a to sprawia, że opisywane przez nią historie, nie tracąc autentyczności, są tak doceniane przez czytelników.

Książka Bernadetty Darskiej realizuje zamierzony cel, pokazując biografię nieprzeciętną, postać o niezwykle wyrazistym i mocnym etosie, mentorkę i nauczycielkę kolejnych pokoleń reportażystów. Publikacja stanowi także przewodnik po twórczości Małgorzaty Szejnert i zachętę, by po jej książki jak najszybciej sięgnąć. ■

Bernadetta Darska, *Szejnert. Szczegół*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2024

ADRIANNA WALENDZIAK

„Wyznanie wiary” Jana Seklucjana. Historia pewnego reprintu

„Najjaśniejszym i najmocniejszym Książętom Panom...” – tymi słowami Jan Seklucjan rozpoczyna swoje *Wyznanie wiary chrześcijańskiej*, wydane w Królewcu w 1544 roku. Trudno o bardziej wymowny dowód na to, że XVI-wieczna książka mogła być jednocześnie manifestem teologicznym, narzędziem przemiany duchowej i nośnikiem języka narodowego. Pół tysiąclecia później, słowa Seklucjana wracają do czytelników w formie reprintu – dzięki wspólnemu wysiłkowi wielu instytucji i ludzi, którzy dostrzegli, że książka to nie tylko świadectwo przeszłości, ale także narzędzie budowania tożsamości kulturowej i przypomnienie roli Prus Książęcych jako kolebki polskojęzycznej literatury reformacyjnej.

Kim był Jan Seklucjan? Wiemy, że pochodził z Wielkopolski i związał swoje losy z uniwersytetem w Królewcu. Tam, dzięki wsparciu księcia Albrechta Hohenzollerna, stał się jednym z czołowych autorów i wydawców protestanckiej literatury w języku polskim. To jego działalność umożliwiła dostęp do tekstów religijnych w ojczystym języku setkom Mazurów i Polaków zamieszkujących Prusy Książęce. To także on – jeszcze zanim uczynili to inni – pokazał, że polszczyzna może być nośnikiem teologicznych idei, językiem przekazu wiary i codziennego użytku.

Reprint *Wyznania wiary chrześcijańskiej*, oparty na oryginale z 1544 roku przechowywanym w zbiorach Biblioteki Gdańskiej PAN, odtworzono z dbałością o każdy szczegół – łącznie z wymiarami i oprawą. Dzieło to, choć niewielkie (100 × 150 mm), miało ogromne znaczenie – zawierało prosty i zrozumiały wykład zasad protestantyzmu, napisany w języku zrozumiałym dla zwykłych ludzi, nie tylko dla elity intelektualnej.

Z kolei *Katechizm*, którego reprint oparto na wydaniu z 1568 roku ze zbiorów Biblioteki Kórnickiej PAN, okazał się zaskoczeniem – planowane 600 stron przerodziło się w niemal 800, dzięki odkryciu dodatkowych pieśni religijnych,

wcześniej niewzmiankowanych w bibliografii. Sam egzemplarz zawierał uniikatowy autograf Seklucjana i imponującą oprawę ze złoceniami i tłoczeniami – prawdziwą perłę edytorską XVI wieku. Dodatkowy rozdział, zatytułowany „Ekonomia każdemu człowiekowi przynależąca”, zawierał moralne i praktyczne wskazówki życia codziennego, zgodne z duchem reformacji.

Warto wspomnieć o kontekście kulturowym tych dzieł. Seklucjan ubiegł o rok publikację katechizmu Jana Maleckiego-Sandeckiego, co wywołało spór o poprawność językową – Malecki przesłał egzemplarz Seklucjana z licznymi poprawkami czerwonym atramentem. Ten konflikt między „czeszczyzną” a żywym językiem polskim uznaje się dziś za początek polskiej krytyki literackiej i językowej.

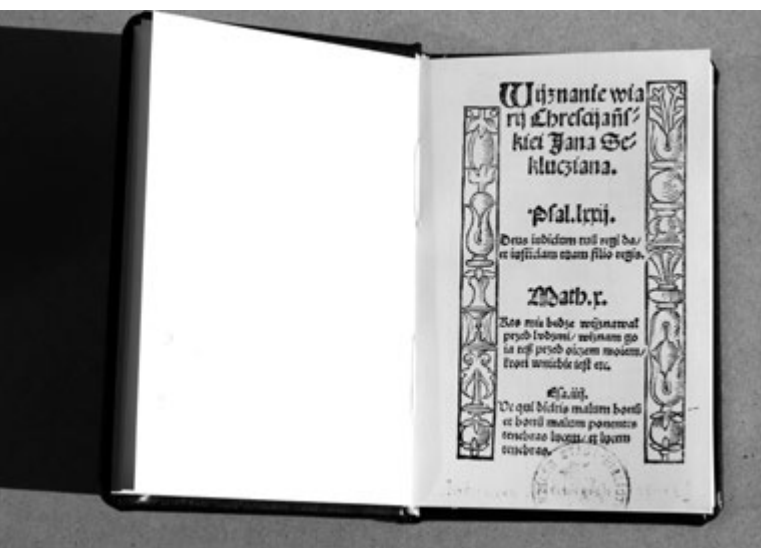
Reprintom towarzyszy publikacja naukowo-popularyzatorska *„Reformacja polska. Jan Seklucjan – dzieła wybrane”*, autorstwa prof. Janusza Małka i prof. Krystyny Stasiewicz, z transkrypcją tekstów przygotowaną przez Annę Westfeld. Całość zamknięta została w eleganckim etui – nie tylko dla celów ekspozycyjnych, ale też jako symbol szacunku wobec treści i formy.

Projekt ten nie powstałby bez pasji i profesjonalizmu wielu osób. Na szczególne podkreślenie zasługują: Wiktor Marek Leyk – pomysłodawca i główny inspirator przedsięwzięcia, Elżbieta Skóra – koordynatorka prac z Pracowni Wydawniczej ElSet, Anna Westfeld – odpowiedzialna za transkrypcję, a także autorzy opracowania naukowego oraz ks. bp Paweł Hause – autor wstępu duchowego. Wydanie sfinansował samorząd województwa warmińsko-mazurskiego.

Historia pokazuje, że książki mają moc kształtowania rzeczywistości. Dzieła Seklucjana to nie tylko teksty religijne – to dokumenty zmiany, jakiej dokonała reformacja. Dzięki nim język polski szybciej zyskał formę pisaną, a Prusy Książęce na chwilę stały się duchowym centrum polskości. ■

ANNA RAU

Między unikatem a kserokopią: cały urok reprintu



„Wyznanie wiary chrześcijańskiej”, Jan Seklucjan, wydane w Królewcu w 1544 roku, reprint: Olsztyn 2025 rok

Łaciński przedrostek „re-” przygotowuje nas na pełną konotację całego słowa, sugerując ponowienie, powrót czy odnowienie. Krótko i jasno więc – „re-print” to coś ponownie wydrukowanego. I nie chodzi tu o takie zwykłe wznowienie książki, co lepsze – z uzupełnieniami, poprawkami błędów z erraty, wstępem, postowiem i podpisem Obcych na okładce w poleceniach. To każdy potrafi, a do tego jest w stałej praktyce i nazywa się kolejnym wydaniem – nie kosztuje też miliona monet (choć ku temu dążymy). Reprint to odtworzenie oryginału tak wiernie, jak się da: czcionka, marginesy, błędy... Oryginał do kwadratu, tylko lepszy, bo bez korników drukarskich w okładce i szynki jako zakładki (jako bibliotekarz – poświadczam). Pytanie: po co komu książka tak samo niedoskonała, jak oryginał, choć bez historii zakłętej w jej zużyciu? ... cisza... (taki żart).

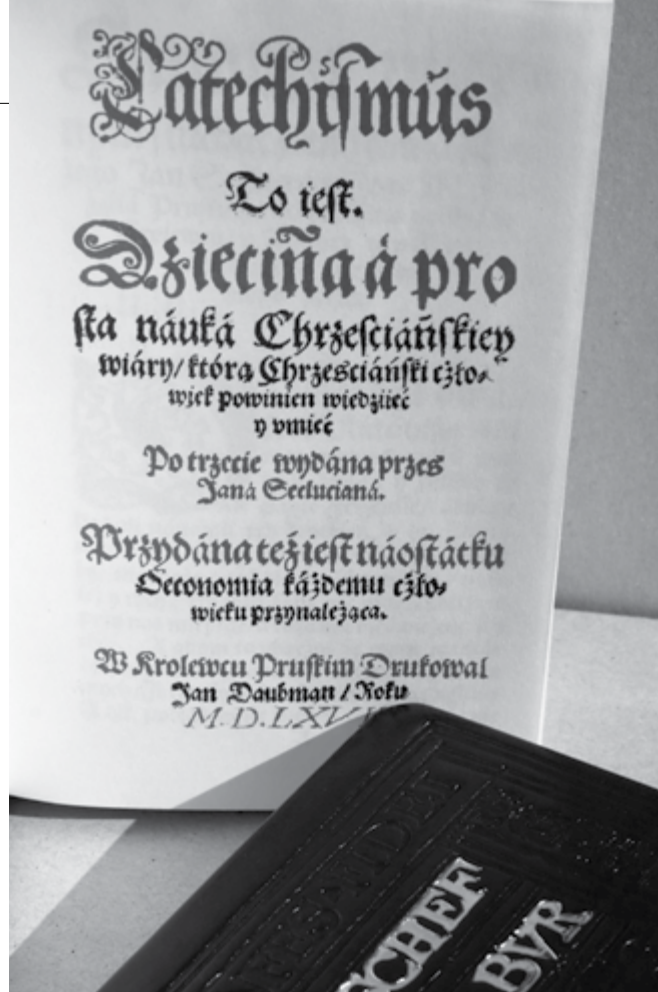
Moda na reprints nie jest sprawą tzw. współczesności. Trudno wskazać jedno nazwisko czy drukarnię jako „wynałazcę” reprintu, bo praktyka wiernego kopiowania istniała od dawna. Wszystko się zaczęło niemal równocześnie z wynalazkiem druku. W XVI i XVII wieku, kiedy drukarnie działały już pełną parą, wydawcy rzetelnie i naprawdę kopiowali wcześniejsze książki, nic nie poprawiając, a dosłownie odtwarzając układ i wygląd oryginału. Dziś praktykę obrotu wierną kopią czyjś dzieła nazywamy „piractwem”, ale wtedy to po prostu była zdrowa konkurencja.

Pojęcie „reprintu” w obecnym rozumieniu pojawiło się dopiero w XIX wieku, kiedy rozwinął się ruch bibliofilski i rozpoczęła się moda na stare druki. Biblioteki narodowe oraz prywatne towarzystwa miłośników książki zaczęły finansować faksymilia, czyli wierne kopie rękopisów i dawnych druków (najczęściej chodziło o kodeksy średniowieczne lub pierwsze wydania klasyków). Takie reprints miały dwie zalety: chroniły oryginał (najczęściej bezpiecznie zamknięty) oraz pozwalały większej liczbie ludzi zapoznać się z dziełem. Tzw. instytucjonalne reprintowanie z intencją odtwarzania dla przyszłości, a nie dla zysku, było praktykowane przez zacne wydawnictwa bibliofilskie w Niemczech, Francji i Anglii. W XX wieku z kolei właśnie dzięki reprintom słynna stała się choćby taka oficyna, jak Kraus Reprint (zał. 1936 r. w Wiedniu, później przeniesiona

Fot. reprint „Wyznania wiary chrześcijańskiej” oraz „Katechizmu”

do Nowego Jorku), specjalizująca się w tworzeniu doskonałych kopii rzadkich dzieł i czasopism naukowych. Głównym założeniem działalności wydawnictwa było udostępnienie badaczom na całym świecie materiałów w oryginale dostępnych jedynie w kilku bibliotekach. Prawdziwa fala reprintów rozpoczęła się jednak po II wojnie światowej, gdy okazało się, jak wiele oryginałów uległo zniszczeniu. Kopie doskonałe stały się więc sposobem na odbudowanie pamięci i kultury narodowej. Na naszym podwórku, w PRL, przez wiele lat szacowniejsze wydawnictwa, jak np. Ossolineum, przygotowywały reprinty staropolskich druków, kronik i dokumentów.

Czy dziś, w XXI wieku – okresie wszechobecnej cyfryzacji – reprinty mają sens i czy w ogóle powstają? Można sobie przecież wyobrazić, że doskonała i dobrej jakości kopia musi sporo kosztować. I tu pojawia się zaskoczenie: obecnie reprinty wręcz przeżywają renesans – paradoksalnie właśnie dzięki cyfryzacji. Powód jest może nieoczywisty, ale z drugiej strony łatwy do odgadnięcia: zagorzali miłośnicy książek – nawet kosztem ubytku w portfelu, nadciągających od ciężaru nadgarstków i straconych przy świetle dioptrii – i tak wolą mieć „coś” w ręku: papierowy, solidny obiekt, który można postawić na półce i cieszyć się nim nawet bez czytania. Reprinty zamawiają więc nie tylko specjalistyczne wydawnictwa historyczne, biblioteki narodowe i niszowe oficyny bibliofilskie, ale również czytelnicy-jednostki. A czym z kolei kierują się choćby wymienione instytucje? – przecież żyjemy w epoce e-booków, audiobooków i bibliotek cyfrowych... Po pierwsze, reprint to gratka dla badaczy. Historyk literatury nie zadowolony współczesnym wydaniem Kancjonału mazurskiego, które ktoś odświeżył stylistycznie i dorzucił przypisy na pół strony. On chce zobaczyć, jak wyglądał oryginalny układ i gdzie zecer drukarni przysnął i opuścił trzy litery. To jak oglądanie obrazu w muzeum zamiast pocztówki z muzealnego sklepiku. Po drugie, reprint to ułkon wobec bibliofilów, o których wyżej. Nie każdego stać na oryginał z antykwariatu w cenie używanego samochodu. Po trzecie, reprint to sposób na ocalenie treści, do których dostęp bywa utrudniony. Zamówienie w bibliotece broszury z 1928 roku o hodowli królików w warunkach miejskich jest możliwe mimo dłuższego poszukiwania w katalogach bibliotek Polski, jednak żeby ją dotknąć i przejrzeć, i co najważniejsze skopiować, to już inna sprawa... Dzięki możliwości wykonania reprintu hodowcy królików XXI wieku mogą działać, bazując na dobrych tradycjach.



Czy reprinty naprawdę są tak wierne, jak wieść głosi? Tak, aby były warte zachodu i konkretnej kwoty, muszą być jak najwierniejsze, łącznie z plamami atramentu oraz krzywymi kreskami. Reprint nie może być „lepszy” niż oryginał, lecz wręcz musi być „taki sam”. W reprintach bowiem nie chodzi o wygodę czytania, lecz o autentyczność i możliwość dotknięcia przeszłości.

Ostatnią kwestią związaną z reprintami jest możliwy cień kontrowersji... Niektórzy podejrzewają, że reprint to taka elegancka nazwa na piractwo. Ot, ktoś wziął książkę, skserował i sprzedaje jako swoją... Nic bardziej mylnego – reprinty wykonuje się legalnie, czyli zgodnie z obowiązującymi prawami – autorskim oraz własności. Inaczej mówiąc, zawsze podaje się autora dzieła, a jako że najczęściej modelami do reprintów są materiały niezwykle stare, prawa własności już ich nie obejmują. Reprintowanie obiektów nowych zaś musiałyby się odbyć za zgodą autorów lub ich potomnych.

Aby wszystko nie było takie różowe trzeba też koniecznie dodać, że owszem – reprint nie zastąpi oryginału – zaginionego lub zniszczonego. Oryginału nigdy nie zastąpi żadna kopia. Ale czasem lepsza jest kopia niż nic. A już doskonała kopia to jest coś... Daje ona szansę dotknięcia dawnych czasów, jest więc czymś więcej niż tylko powielaniem papieru. To rodzaj wehikułu czasu – prostego, względnie taniego oraz szeroko dostępnego. ■

MARY RUMI

Gospodarz języka

Wszyscy wiemy, jak to jest coś zaczynać. Początkom należy się osobna rozprawa, o początki warto dbać, początki się bardzo liczą – w ogólnym, życiowym rozrachunku to w dużej mierze „inicjowanie” właśnie daje nam siłę napędową. Kiedy przychodzi do głowy jakiś pomysł, zaczyna się w nas jakby nowe życie, pełne wizjonerstwa, siły, energii – na tym etapie wszystko dzieje się bardzo szybko i może, przy niesprzyjających wiatrach, równie szybko się zakończyć. I w tym momencie przeniesiemy się do roku 2008, gdy siedzieliśmy sobie z Marcinem (Rumińskim) w naszym zatorzańskim centrum dowodzenia zespołami i rozmyślaliśmy nad tym, jak w zasadzie brzmiała kiedyś muzyka warmińska. Od muzyki bardzo szybko przeszedłem do rozważań na temat językowo-gwarowe. Zawsze byłam humanistką, bardzo lubię wyzwania lingwistyczne w muzycznych przedsięwzięciach, a wtedy byłam akurat rozgrzana, bo raz, że świeżo po publikacji płyty „Kaszëbë” Ola Walickiego, na której śpiewałam współczesną poezję Damroki Kwidzińskiej w języku kaszubskim, a dwa, że na płycie „Psychofolk” zespołu Shannon siłowałam się z irlandzkim językiem gaelic. W ekspresowym tempie zostaliśmy skierowani, przez radiowców i przez Maćka Kiborta, do Edwarda Cyfusa jako specja od tożsamości i gwary warmińskiej, oraz osoby kochającej muzykę i od tego momentu Edzio stał się nieodłącznym elementem moich niemal wszystkich kolejnych etnicznych przedsięwzięć.

Zebrałiśmy jakieś pierwsze materiały, ale to dopiero Edward nas zasypał spisnymi pieśniami, wraz z wykonawcami, miejscowościami i datami ich zgromadzenia – z niedawno opublikowanego pięciotomu PAN. Przebieraliśmy radośnie w tekstach, w melodiach, podzielili się w zespole aranżacjami, a Edward dokonał ekspresowych ugwarzeń.

I gdy rozpoczęliśmy próby w siedzibie naszego ówczesnego managera, należącego do Stowarzyszenia „Wolna Grupa Twórcza” przy ulicy Giełkowskiej (obecnie restauracja „Koszary Pizza & Pasta”) to przyjeżdżał do nas i uważnie słuchał, czy poprawnie realizujemy gwarę. Kluczowym dla mnie elementem i głównym celem „Wskrzeszenia Hobouda” była poprawność gwarowa i jej popularyzacja, a także inspirowanie się we współczesnym folku lokalną kulturą. Zwłaszcza taką, o której powszechnie niemal nic nie wiadomo. Zaangażował się Edward do tego stopnia i zachwycił nas wszystkich swoim entuzjazmem (oraz jak sam mawiał: „sznaps-barytonem”), że Marcin zaproponował

mu osobisty udział w albumie. Równie sprawnie, co korekty gwarowe, powstały krótkie gawędy wprowadzające do treści następujących po nich pieśni. Zostały one zarejestrowane na płycie oraz wcześniej wykonane na żywo podczas podwójnej premiery Hobouda pt. „Warnińskie spsiywnie” w ramach „Olsztyńskich Spotkań Teatralnych” w Teatrze im. S. Jaracza w Olsztynie. To, co kluczowe w tej opowieści, to rozłożenie zdarzeń w czasie – zwłaszcza gdy myślę o tym z dzisiejszej perspektywy.

Pomysł na Hobouda powstał dosyć szybko po mojej przeprowadzce z katowickiej uczelni, bo po niespełna dwóch latach. Jestem urodzoną mazowszanką, a pochodzenie całkowitym kundlem – wiele we mnie zagubienia i zapomnienia, wiele urwanych nitek i korytarzy bez kontynuacji. Z jednej strony Wilno, z drugiej, Lwów, z trzeciej Podhale, coś z zawstydzająco wysoko urodzonych rodów i herbarzy, coś ze starych legend i bitew, sporo tragicznych osieroceń, tortur i traum. Polska polskość. Pogubienie i poplątanie z zawstydzeniem. Dla Edwarda nie miało żadnego znaczenia, że nie jestem rodowitą Warmiaczką, że dopiero drugi rok mieszkam w Olsztynie, a Marcin dotąd zajmował się wyłącznie muzyką krain celtyckich. Że jestem po kierunku jazzowym i z rodziny aranżującej muzykę i przetwarzającej wyjściowe dane – nie odtwarzającej. Cieszył się zwyczajnie z naszego zainteresowania, bardzo wspierał nawet to, że nie staraliśmy się udawać, że „wiemy, jak ją wykonywać”, chciał bardzo, aby ludzie czuli, że mają prawo do poznawania się i używania, wręcz utożsamiania się z jego ukochaną krainą i czuli się jej mieszkańcami. Tak szeroko otworzył przede mną ramiona, że niosło mnie od tamtej pory przeświadczenie, że „mam prawo” i, że gwara zawsze czeka na mnie jako kolejne źródło inspiracji. I tak też było: „Polska-Pakistan. Muzyka bez Granic 2017-18”, duet „PAMARUNA”, Stypendium MKiDN #kulturawsieci „Melodie Warmii i Mazur – Subiektywna selekcja pieśni”, trio „Sploty”, KRIVE ft. Mary Rumi, Stypendium Marszałkowskie „Sploty Dziadowskie” – to m.in. projekty, do których przekłady gwarowe robił mi Edward – w sumie kilkadziesiąt tłumaczeń, w tym niektóre teksty specjalnie dla mnie sfeminizowane. „Tylko zbyt współcześnie nie kombinuj Maryśka, bo nazw nie ma, a tak to wszystko można! I spiesz się, póki jestem”.

Ja też właśnie, z jego odejściem, straciłam swój okruszek tożsamości – tej z wyboru i miłości. (Edward, a jak by to było w gwarze? Bo to gotowa zwrotka do piosenki...) ■

KATARZYNA GUZEWICZ

Dobry gospodarz?

Trzeci sezon koreańskiego serialu „Squid Game” pod koniec czerwca pojawił się na platformie Netflix. Jeśli ktoś nie wie, o co chodzi w koreańskim fenomenie, już spieszę wyjaśnić w kilku zdaniach. Serial opowiada o rozgrywkach, do których zgłaszają się osoby tonące w długach, czy ścigane przez wierzycieli a nawet mafię. Otoczka gier jest wesoła i kolorowa, a uczestników prowadzi głos niczym z programów dla dzieci. A tymczasem ci, którym nie pójdzie w jakiejś konkurencji, są zabijani – przez zamaskowanych żołnierzy, przez inne grające osoby (ewentualnie spadają z wysokości, są strącani w przepaść przez pędzącą linę – pomysłów na chore i brutalne „zabawy” twórcy mają dużo). Sami żołnierze wyglądają nietypowo: mają różowe kombinezony i czarne maski. Szefem, którego wszyscy się boją, a który niejako trzyma w ryzach tę chorą konstrukcję jest człowiek nazywany Liderem. Wyróżnia go szary płaszcz z kapturem. On też zakrywa twarz czarną maską. Nie pojawia się wśród zawodników (z jednym wyjątkiem, ale o tym później), obserwuje obraz z licznych kamer w zaciszu swojego gabinetu. Do tej postaci świetnie pasuje zdanie wypowiedziane przez filmową Patricię Reggiani: (graną brawurowo przez Lady Gagę w filmie „Dom Gucci”) „Nie jestem specjalnie etyczną osobą, ale jestem sprawiedliwa”. O Hwangu In-ho (naszym gościu), też można powiedzieć, że jest sprawiedliwy. Trzyma się zasad, pilnuje, żeby każdy miał równą szansę na wygraną. Elegancki, powściągliwy w zachowaniu. Jego biografia mówi, że kiedyś był policjantem i wygrał grę w kalmara (inna nazwa „Squid Game”) w 2015 r., jako gracz z numerem 132. Najwyraźniej tak mu się spodobało, że postanowił włączyć się w organizację. Kiedyś nawet oddał swojemu bratu nerkę. „Squid Game” to siatka ludzi, którzy zostali wtajemniczeni i pomagają od lat, żeby krwawe rozgrywki od początku do końca funkcjonowały jak należy. Najpierw tzw. Rekruter przemierza koreańskie metro w poszukiwaniu finansowych utracjuszy, którzy są gotowi zagrać o wielkie pieniądze. Następnie zawodnicy i zawodniczki są usypiani i transportowani na tajemniczą wyspę, gdzie odbywają się rozgrywki. Po każdej następuje uczciwe głosowanie. Zawodnicy

większością głosów mogą przerwać jatkę, w której uczestniczą. Tak się jednak nigdy nie dzieje, bo większość ma nadzieję wyjść z dużymi pieniędzmi.

W serialu poruszonych zostało sporo wątków: jedno zrealizowane lepiej, inne gorzej. Są ucieczki z Korei Północnej (i związane z tym dramaty), krytyka kapitalizmu, handel organami, uzależnienia (narkotyki, hazard). Ale wróćmy do postaci samego Lidera. Swoją odpowiedzialną funkcję przejął po pomysłodawcy i założycielu upiornej gry: Oh Il-namie. Ten niewinnie i sympatycznie wyglądający starszy mężczyzna okazał się bogatym dewiantem, który wymyślił odpowiedź na potrzeby... jeszcze większych zdemoralizowanych bogaczy. Czerpią oni przyjemność z oglądania, jak uczestnicy kolejnych edycji próbują przetrwać kosztem wybierania się nawzajem w walce o kilkadziesiąt milionów wonów (czyli około 150 mln złotych). I tu na chwilę przerwę, bo przychodzi mi do głowy seria „Hostel”, film „Battle Royal”, czy „Igrzyska Śmierci”. Skojarzeń i zapożyczeń jest sporo. Moje wewnętrzne dziecko było zachwycone eksplozją intensywnych kolorów (co jakiś czas przełamanego tryskającą krwią, wiadomo). Ale wróćmy do Lidera. Pojawił się w rozgrywkach, udając jednego z zawodników, aby czuć od wewnątrz nad przebiegiem „zabawy”. To był ciekawy zabieg twórców, bo my świetnie wiedzieliśmy, kim jest, a osoby walczące w grach wzięły go za jednego ze swoich. Co więcej, był tak przekonujący w swojej roli, że (pewnie jak wiele oglądających osób) nabrałam wątpliwości co do jego złych zamiarów! Dla mnie w tym momencie to postać najciekawsza z całego serialu. Tragiczna, cyniczna, bezwzględna. Jest przekonany, że ludzie dostają dokładnie to, na co zasługują. Nie waha się, strzelając do jednego ze swoich żołnierzy (za to, że pokazał się bez maski zawodnikom), czy do innych osób, które próbują zakłócić przebieg rozgrywek. Ale przy tym robi inne rzeczy, które każą podejrzewać, że jest w nim głęboko ukryty pierwiastek dobra i szlachetności (powtarzam – głęboko ukryty!). Może w przyszłych sezonach zobaczymy jego przemianę? ■



Fot. z archiwum Muzeum Warmii i Mazur

Styczeń 1945 roku. Młoda nauczycielka Cecylia Vetulani żyje wśród krewnych w podwarszawskim Milanówku. Jest ósmą, najpóźniej przybyłą z powstania rezydentką małego, trzypokojowego domu. Wypełnia ją paraliżujący strach o walczącą w powstaniu siostrę Marię. Nie wie, że ciężko poparzona kobieta padła ofiarą rzezi dokonanej przez niemieckich żołnierzy w szpitalu przy ulicy Długiej...

Do Warszawy przybywa wiosną. Chce odnaleźć swój dom, ale – tak jak większość mieszkańców stolicy – odnajduje tylko przynębiający obraz zniszczenia. Z gruzów udaje jej się wyciągnąć kilka fotografii i zestaw tyłek. Odzyskane przedmioty oraz płaszcz z karakuł stanowią odąd jej jedyny dobytek. Podejmuje decyzję o jak najrychlejszym wyjeździe i rozpoczęciu wszystkiego od nowa. Brak pieniędzy na podróż zmusza ją do spieniężenia zimowego płaszcza. Myśli o Wrocławiu, jednakże o śląskie miasto wciąż toczą się walki. Wybiera Gdańsk. Przedłużająca się prześiadka w Toruniu sprawia, że Cecylia Vetulani decyduje się na Olsztyn. 30 kwietnia, z kretonowym workiem na plecach i w zdobycznej kurtce granatowego policjanta wysiada na dworcu głównym.

MAGDALENA WAŁKUSKA Osiemdziesiąt lat temu...

Kieruje się w stronę kuratorium, gdzie otrzymuje informację o wakacie w muzeum. Już wcześniej podjęła decyzję o zamknięciu w swoim życiu rozdziału poświęconego szkolnictwu, dlatego bez wahania przyjmuje ofertę, zwłaszcza że z wykształcenia jest historykiem sztuki. 1 maja spotyka się z Naczelnikiem Wydziału Kultury, Hieronimem Skurpskim. Zostaje zatrudniona. Radość ze znalezienia pracy przyćmiewa atmosfera Olsztyna. W zniszczonym mieście brakuje światła, gazu, wody. W łynie pływają zwłoki, a po mieście krążą uzbrojeni czerwonoarmiści, szabrownicy, maruderzy...

Szuka odpowiedniego lokum. „Olsztyn tonął w pierzu” – pisze po latach. Wreszcie udaje jej się znaleźć puste, pięciopokojowe mieszkanie. W muzeum zajmuje się wszystkim: przemierzaniem Olsztyna w poszukiwaniu cennych przedmiotów, oprowadzaniem zwiedzających, przenoszeniem książek ze Starego Ratusza niczym „juczny osiołek”, sprzątaniem, malowaniem postumentów, sklejeniem kafli, przepisywaniem korespondencji, prowadzeniem rachunkowości, inwentaryzowaniem zabytków, pisanie planów i sprawozdań, merytorycznym opracowaniem ocalałych dzieł sztuki... Mimo nawet obowiązków odnajduje w pracy muzealnika upragniony spokój. W Muzeum Mazurskim pracuje do 1952 roku. Przez następne lata zajmuje się konserwacją zabytków w terenie. Nowe zajęcie całkowicie ją pochłania. Mijają trzy lata wytężonej pracy, po czym zostaje zwolniona pod kawkowskim zarzutem „bycia ambasadorką Watykanu”. Świetnie zapowiadająca się kariera zostaje zakończona. Pracuje jeszcze parę lat w antykwaracie, ale fatalny stan zdrowia nadwątlony nabytymi w ciągu życia chorobami płuc zmusza ją do przejścia na rentę.

Cecylia Vetulani była pierwszym pracownikiem Muzeum Warmii i Mazur, które obchodzi w tym roku swoje osiemdziesięciolecie. ■

ELŻBIETA ZAKRZEWSKA / DZIAŁDOWSKA KUŹNIA SŁOWA

Czy nadal istnieje przysłowiowa polska gościnność?

Panuje powszechne przekonanie, że Polacy są gościnni. Ta opinia sięga daleko wstecz. Odwołajmy się chociażby do staropolskiej gościnności, z którą kojarzy nam się zawołanie: „Gość w dom, Bóg w dom”. W naszej historii krążą wręcz legendy o polskiej gościnności, wystawnych ucztach ze szlachetnymi trunkami, toastami pełnymi anegdot i serdecznych życzeń, bogactwem różnorodnych dań oraz przednich rozrywek w postaci tańców, zabaw i śpiewów. W kronikach znajdziemy zapisy o gościnności gospodarzy, którzy chwyтали się najróżniejszych sposobów, aby zatrzymać odwiedzających – nawet uszkadzając ich powozy. Ale czy ta szczodrość i otwartość na innych została z nami do dzisiaj?

W znaczeniu współczesnym gościnność rozumiemy jako dobrą relację gospodarza z gościem, okazywanie mu życzliwości, otwartości i bezinteresownej pomocy. Nie musi objawiać się w postaci bogatego przyjęcia, zakrapianego alkoholem, czy innymi atrakcjami. Wystarczy okazanie dobrej woli gospodarza i zaoferowanie noclegu czy poczęstunku nawet nieznanym osobom.

Tak rozumianą gościnność Polacy mieli okazję zaprezentować w ostatnich latach, gdy udzielali pomocy ludności ukraińskiej, uciekającej ze swego kraju ogarniętego wojną. Wielu otwierało przed nimi progi swoich domów, oferując schronienie, bezpieczeństwo i zapewniając godziwe warunki życia.

Aby okazać swą gościnność nie musimy jednak sięgać do aż tak ekstremalnych sytuacji z zagrożeniem życia włącznie. Na co dzień spotykamy wiele bardziej prozaicznych okazji, w których możemy pokazać postawę dobrego gospodarza.

W swoich wspomnieniach zachowałam wydarzenie z dzieciństwa, podczas letnich wakacji, które spędzałam u wujostwa na wsi.

Ponieważ wujostwo nie mieli dzieci, skazana byłam tylko na towarzystwo dorosłych, bo w sąsiedztwie też nie znalazłam grupy rówieśniczej. Nie narzekałam jednak, ponieważ traktowano mnie z wielką serdecznością i troską. Wujostwo starali się umilać mi czas, proponując różne formy aktywności i rozrywki. Czułam się u nich bardzo dobrze i doceniałam ich starania, jednak brak towarzystwa w moim wieku trochę mi doskwierał. Na domiar złego pogoda była iście niewakacyjna – chmury, deszcze i niska temperatura. I właśnie któregoś dnia przy takiej pogodzie, późnym popołudniem w domu wujostwa pojawili się niespodziewani goście. Para przemoczonych, wyczerpanych kajakarzy – ojciec z nastoletnim synem. Okazało się, że kilka dni wcześniej

wybrali się na wyprawę kajakową, ale pogoda pomieszała im szyki. Deszcz był zbyt silny i padał zbyt długo, aby mogli kontynuować swoją wyprawę. Zatrzymali się w przypadkowym miejscu, którym okazała się wieś, gdzie mieszkali wujek i ciocia. A że ich dom był najbliżej rzeki, przyszli właśnie tutaj i poprosili o udzielenie im gościny. Byli całkowicie przemoknięci, zmęczeni i głodni. Nie mieli sił, aby przytaszczyć kajak, więc wujek poszedł z nimi nad rzekę, aby im pomóc. Uzgodnili, że prześpią się w stodole, w gospodarstwie wujka, a na drugi dzień wyruszą w dalszą trasę. Tymczasem ciocia, jako dobra gospodyni, przygotowała dla wszystkich posiłek. Wystawiła na stół najlepsze przysmaki i przekąski ze swojej spiżarni, w tym marynowane grzybki, w których „produkcji” była mistrzynią. Goście, „doprowadziwszy się do porządku”, zasedli przy stole. Muszę tu wspomnieć, że na samym początku przedstawili się i okazali swoje dokumenty, mimo iż nikt tego od nich nie żądał. Dowiedzieliśmy się, że ojciec – czyli pan Witek – był oficerem Ludowego Wojska Polskiego (były to czasy PRL-u), a syn, który miał na imię Marek, był w moim wieku. Mieszkali we Wrocławiu, czyli w zupełnie innej części Polski niż my.

Przy stole rozwinęła się rozmowa, a tematów do niej nie brakowało. Zapanowała bardzo miła atmosfera, a gdy przyszło do rozejścia się na nocleg, wujostwo zaproponowali, aby goście, zamiast spać w stodole, zajęli pokój gościnny. Oczywiście, nie obyło się bez ich obiekcji, wahania, ale wujek z ciocią orzekli, iż nie uchodzi, aby tacy sympatyczni, a do tego utrudzeni tym niefortunnym spływem kajakowym, ludzie nocowali w spartańskich warunkach.

Następnego ranka pogoda nie poprawiła się i wujostwo zaproponowali przedłużenie pobytu aż do zmiany aury na lepsze. Pan Witek i Marek byli bardzo zadowoleni z tej propozycji i wdzięczni, że nieznani im wcześniej ludzie udzielili wsparcia w trudnej sytuacji. Szybko zadowolili się i już wkrótce wszyscy czuliśmy się, jakbyśmy znali się od lat. Pan Witek pomagał wujkowi w gospodarstwie, a ja i Marek nawiązaliśmy przyjacielski kontakt i spędzaliśmy ze sobą każdą chwilę. Zła pogoda utrzymywała się przez kilka dni, a nieoczekiwana wizyta naszych gości urozmaicała nam ten czas. Po kilku dniach młodsi – ja i Marek – z żalem przyjęliśmy poprawę pogody, co zapowiadało koniec pobytu miłych gości w gospodarstwie wujostwa. Zarówno jednej, jak i drugiej stronie trudno było się pożegnać, bo spędzony razem czas spowodował nawiązanie przyjaznych więzi. Długo utrzymywaliśmy bliskie kontakty

KRZYSZTOF KAPINOS

Samotność gospodarza

korespondencyjne. Wysyłaliśmy kartki z życzeniami świątecznymi czy okazjonalnymi pozdrowieniami, a ja i Marek pisaliśmy do siebie listy. Żał, że prywatne telefony nie były wtedy bardzo rozpowszechnione, a o internecie i telefonach komórkowych nikt jeszcze nie słyszał. Tak więc nasze kontakty powoli zamieniały się we wspomnienia i z biegiem czasu zanikły. Jednak gdyby nie otwartość i gościnność, jaką wykazało moje wujostwo, nigdy nie doszłoby do wzajemnego poznania się i tego przyjemnego epizodu w naszym życiu.

Znając postawę mojego wujka i cioci wobec kontaktów międzyludzkich wcale się nie dziwię, że otworzyli swoje drzwi dla nieznanym, strudzonym ludzi. Ich gościnność była powszechnie znana. Często przyjeżdżali do nich krewni i znajomi, których przyjmowali z otwartymi ramionami (nawet tych niezapowiedzianych). Dla każdego znaleźli czas, dobre słowo, miejsce do odpoczynku i dzielili się, czym mieli. Powszechnie wiadome było, że nikt nie opuszczał ich domu odtrącony, bez udzielonej pomocy, źle potraktowany. Gdy w wiosce, w której mieszkali, odbywał się odpust parafialny i zjeżdżało się wtedy mnóstwo ludzi z całej okolicy, ich podwórko było pełne rowerów, które tam zostawiali bliźni i dalsi znajomi na czas uczestnictwa we mszy świętej. A po ich powrocie z kościoła ciocia nie wyobrażała sobie, aby nie poczęstować ich herbatą i kawałkiem ciasta. Pamiętam, jak jej pomagałam, kręcąc się po podwórku z tacą pełną ciasta i szklanek herbaty.

Dziś rzadko spotykamy takie przejawy gościnności. Nie mamy czasu, jesteśmy zabiegani, przeciążeni obowiązkami, rzadko znajdujemy okazję do spotkań w szerokim gronie. A obserwując przejawy nieodpowiednich, nieuczciwych zachowań staliśmy się nieufni wobec nieznanych nam osób i rzadko kiedy otwieramy dla nich szerzej drzwi. Swoją gościnność natomiast kierujemy głównie do rodziny i osób nam znanych. Nadal lubimy przyjmować gości, tylko nasza gościnność po prostu wygląda trochę inaczej. Staramy się być dobrymi gospodarzami zapraszając rodzinę i bliskich przyjaciół. Wspólnie biesiadujemy, celebруем uroczystości i święta. Jesteśmy mniej spontaniczni i otwarci na obcych, nie mniej jednak sprawdzamy się jako gospodarze w obliczu trudnych sytuacji życiowych, okazując wsparcie i empatię, co zbliża ludzi, przełamuje bariery oraz jest sposobem na budowanie dobrych relacji i pielęgnowanie kontaktów. Duch staropolskiej gościnności nadal w nas drzemie. ■

Kim jest gospodarz? Brzmi dumnie — niczym tytuł staropolski, obok „softysa” i „kasztelana”. Ale w praktyce gospodarz to ten, kto zostaje na sali po zebraniu, kiedy reszta już poszła do domu oglądać serial. To ktoś, kto — jak mawiała moja sąsiadka — „ma czas i lubi pisać pisma”. Tak oto człowiek staje się gospodarzem: raz zagłosuje, że „może się tym zająć”, i już ma w kieszeni nieoficjalny etat dożywotniego woźnego wspólnoty mieszkaniowej.

Mówię to z doświadczenia członka zarządu wspólnoty i działacza Rady Osiedla. Na zebraniach mieszkańcy są jak husaria — zwarci, gotowi, jednogłośni. Trzeba wymienić domofon? Tak! Trzeba zrobić plac zabaw? Oczywiście! Ale kiedy pojawia się pytanie: „Kto złoży wniosek, kto policzy koszty, kto pójdzie do urzędu?” — wtedy husaria nagle gubi skrzydła i rozpyływa się w powietrzu. Zostaje gospodarz. Sam, jak rycerz na polu bitwy, tylko zamiast szabli ma pieczętę i numer telefonu do administracji.

Samotność gospodarza ma swoje etapy. Najpierw pojawia się entuzjazm — bo przecież fajnie coś zrobić dla ludzi. Potem przychodzi etap uświadomienia — że dla ludzi robi się wszystko, ale ludzie wolą komentować, niż pomagać. A na końcu zostaje stoicka zgoda na fakt, że choćbyś nie wiem jak się starał, i tak usłyszysz: „źle pan to załatwił”. Bo przecież można było taniej, szybciej, ładniej. To taka wersja greckiej tragedii w wydaniu lokalnym: gospodarz zawsze przegra, nawet jak wygra.

Tu dochodzimy do refleksji bardziej regionalnej. Na Warmii i Mazurach gospodarze zmieniali się jak w kalejdoskopie. Krzyżacy, Polacy, Prusacy, znowu Polacy — każdy na chwilę rozkładał swoje graty i mówił: „to moje”. A autochtoni — ci cisi, stali, niewzruszeni — trwali w tym wszystkim jak sąsiadka z parteru, która przeżyła już siedmiu administratorów i dalej podlewa swoje pelargonie. Widać, że w tej ziemi jest coś z samotności gospodarza: ciągła zmiana zwierzchników, a jednak ktoś musiał dbać o codzienność — o dach, o pole.

Dlatego może ta nasza lokalna tradycja każe nam przyjmować rolę gospodarza bez wielkiego zdziwienia. Na ziemi od wieków wiadomo, że ktoś musi doglądać, gdy inni się przeczucą odpowiedzialnością jak gorącym kartoflem. I w gruncie rzeczy dobrze, że są tacy, którzy — choć samotni — podejmują się tego zadania.

Samotność gospodarza to więc nie tyle przekleństwo, co stały element krajobrazu. Jak stare mazurskie chałupy, które stoją, choć przez stulecia wymieniają się w nich mieszkańcy. Bycie gospodarzem to trochę jak bycie latarnią — samemu w ciemności, ale dla innych źródłem światła. I choć czasem wolałbym obejrzeć serial zamiast pisać kolejny wniosek do urzędu, to wiem jedno: ktoś musi pilnować, żeby wspólne nie zamieniło się w niczyje. ■

love

love

Thou wast that all to me, love
For which my soul did pine—

soul

soul

